



Podróż 51

Wietnam się zmienia. Wizerunek państwa zrujnowanego przez wieloletnią wojnę odchodzi w zapomnienie. Mieszkańcy starają się żyć dniem dzisiejszym, wymazując z pamięci okropności wyniszczającego konfliktu. Zmienia się obraz miast i wsi. Na ironię, zniemawidzony przez lata agresor i okupant staje się powoli wzorem do naśladowania. Wietnamczycy łączywie przyjmują zachodni styl życia. Wszystko, co amerykańskie, jest dobre i szybko akceptowane. Na szczęście są jeszcze miejsca na mapie Wietnamu, które oparły się kulturowym zmianom. Wyruszymy do jednego z nich, na północ w odległe górskie tereny.

Jest ciemna noc. Nieliczne światła oświetlają peron na dworcu w Hanoi. Przy peronie, znajdującym się na wysokości szyn stoi kilka wagonów, jakie pamiętam z lat młodości. „Made in ZSRR”, ale w wersji międzynarodowej. To było coś. Przed każdym wagonem wita pasażerów obsługa pociągu. Wciągając się wzajemnie na wysokie stopnie wchodzimy do środka. Jest lepiej, niż można było się spodziewać. Bez fajerwerków, ale czysto i schludnie. W przedziałach, stolik, stylowa lampka, indywidualne oświetlenie nad łóżkiem. Po chwili ruszamy. Nie wszyszcymy mamy ochotę na sen. Zdajemy sobie jednak sprawę, że warto wykorzystać kilka najbliższych godzin na odpoczynek. Niespodziewanie otwierają się drzwi. Zbliża się docelowa stacja. Chyba jednak zasnął. Po kilku minutach, w ciszy stoimy już na korytarzu. Słychać tylko miarowy stukot kół i ziewanie pasażerów. Za oknami, nadal czarna noc.

Wysiadamy. Peron oświetlają tylko światła wagonów. Ostrożnie przeskakując kolejne tory, wychodzimy na dworcowy plac. Świta. Lao Cai budzi się do życia. To niewielka graniczna miejscowość, ostatnia stacja kolei w Wietnamie. Tutaj znajduje się przejście graniczne z Chinami. Przez wiele lat



Centrum Sa Pa



Kobiety z plemienia Czarnych Hmongów



Kanona piękna kobiet z plemienia Czerwonych Dao (wygolana głowa i brwi - wyrwane rzęsy)

miejsce nieustannych waśni i sporów z wielkim sąsiadem. Lao Cai często nazywa się też „Bramą do Sapy”, która leży 40 km na północ od miasta. Szybko odnajdujemy naszego busa i ruszamy w dalszą drogę. Mijając kolejne wioski, bambusowe stragany, wykarczowane lasy, mozolnie pnemy się coraz wyżej i wyżej. Jedziemy do najdalej na północ wysuniętego miasta Wietnamu – Sa Pa, leżącego na wschodnich zboczach gór Hoang Lien Son, zwanymi też Alpami Tonkińskimi. Oparci o szyby, walczyliśmy ze swoimi organizmami. Sen zamyka powieki, a ciekawość próbuje je podnosić. Nieustanna walka, która często kończy się niespodziewanym poderwaniem głowy w górę. Na szczęście pierwsze promienie



Tarasowe pola ryżowe

słońca, magicznym światłem zaczynają otulać otaczające nas góry.

Wjeżdżamy do miasta i z niedowierzaniem patrzymy przed siebie. Ładne, schludne centrum miasta, trawniki, skwery, przystrzyżone klomby, pływające łódki po jeziorze. Wszystko przypominia alpejski kurort. I nie mylimy się. Jako pierwsi do Sa Pa przybyli tu w 1918 roku Jezuici i przekazali do Hanoi wieść o cudownych widokach i przyjemnym klimacie. Kilka lat później, Sa Pa była już górską stacją klimatyczną, gdzie Francuzi budowali wille, hotele i korty, przekształcając to miejsce w swoje letnisko. W malowniczym otoczeniu francuscy kolonizatorzy flirtowali, plotkowali, jedli truskawki i pili mnóstwo wina. Idylla trwała do II wojny światowej i inwazji japońskiej w 1941 roku. Wiele willi i hoteli zostało zniszczonych lub porzuconych podczas kolejnych wojen z Francuzami i Amerykanami. Dzieła zniszczenia dopełniła wojna chińsko-wietnamska 1979 roku. Na szczęście po wprowadzeniu reform gospo-

darczych i otwarcia kraju dla turystów miasto powoli odzyskuje świetność czasów kolonialnych.

Sa Pa to jedno wielkie targowisko, podzielone na kilka stref. Można tutaj kupić praktycznie wszystko: egzotyczne owoce, wyroby miejscowego rzemiosła, pamiątki po wojnie wietnamskiej (mundury, czapki, odznaczenia) czy kolorowe ptaszki w klatkach. Duże wrażenie robi targ mięsny. Standardem są baranie głowy, bycze jądra, całe wnętrzości czy baranie i wołowe nogi z kopytami. Wszystko w warunkach dalekich od naszych standardów czystości. Jednak dla nas, największą atrakcją są przedstawiciele plemienia Czarnych Hmongów, którzy schodzą na targ z okolicznych wzgórz. Ubrani w ciężkie, bogato haftowane kaftany i spódnice wyrabiane z konopi. Na nogach mają grube getry chroniące przed zimnem, komarami i otarciami. Okazyjnie zakładają ciężką, srebrną biżuterię. Sprzedają głównie własne wyroby. Szyją i haftują ubrania, a także produkują biżuterię srebrną, która ma dla nich duże



Gospodarz domu



Dzieciaki sprzedające haftowane torebeczki



Opuszczamy wioskę



Grillowane ptaszki, grzyby i warzywa w boczku



Moja opiekunka

znaczenie. Świadczy bowiem o poziomie zamożności i o siłach witalnych.

Targ to również jedzenie, tak więc przysiadamy w jednej z licznych knajpek, która w rozumieniu wietnamskim to przeważnie niski drewniany stolik i dziecinne, plastikowe krzeselka rozstawione na chodniku. Często na skraju ulicy. Co jemy? Głównie szaszłyki z grzybami, dziwnym tłustawym i żyłastym mięsem z całymi ptaszkami i warzywami zawiązanymi w boczek. Po chwili, słysząc polski język przysiadają się do nas Polacy podróżujący na wypożyczonych motorach po Wietnamie. To zawsze inspirująca rozmowa.

Nadszedł czas na dalszą podróż. Busem ruszamy w góry. Po chwili przez otwarte okna podziwiamy zapierające dech w piersiach widoki. Większość górskich zboczy pokrywają tarasy pól ryżowych. Zatrzymujemy się na wzniesieniu skąd rozpościera się rozległa panorama. Błyskawicznie otaczają nas dzieci, które próbują sprzedać nam haftowane torebeczki. Kupujemy kilka – nie wiem po co? – i poddajemy się magii otaczających nas widoków i ślicznych, kolorowo ubranych dzieciaków.

Nad polami ryżowymi wznosi się baldachim wiecznie zielonego lasu. Żyje tu zadziwiająca różnorodność ssaków, ptaków, gadów i płazów. Niestety sporo z nich jest zagrożona wyginieciem. Tygrys indochiński, langur wspaniały, saola, bażant srebrzysty to już bardzo rzadkie zwierzęta.

Jedziemy dalej, pokonując kolejne, karkołomne zakręty niebezpiecznej drogi. Dojeżdżamy do

miejsca skąd wyruszymy do wioski Cat Cat. Z niedowierzaniem spoglądamy za okna. Równy z busem pędzi rozjuszony tłum kolorowo ubranych kobiet. Krzyczą i wskazują na nas palcami. O co chodzi? Po chwili wszystko wiadomo. One nas wybierają. Szybko zostajemy przypisani. Ten mój, ta moja. Na kilkukilometry szlak wyruszą już w towarzystwie kobiet z plecionymi koszami na plecach, trzymającymi kolorowe parasolki. Razem wyglądają jak odrealniona parada przebierańców. Moja „opiekunka” – połykająca złotymi zębami – co chwilę osłania mnie od słońca, nie zważając na mój kapelusz. Asysta ma jednak swój cel. Sprzedać maksymalnie dużą zawartość kosza. Wybór jest spory. Tylko po co mi piszczałka, rachityczny nożyk, haftowana torebeczka, puzderko na bibeloty nie mówiąc o grzebieniu.

Większość idących z nami należy do Hmongów inaczej Meo. To jedna z największych mniejszości etnicznych w Wietnamie. Kiedyś byli nomadami. Emigrowali z Chin do Wietnamu na początku XIX wieku i osiedlili się w górach północy. Znani są z niezależnego ducha – słowo hmong w ich języku oznacza „wolność”. Nadal pozostali niezmiennie lojalni wobec swych rodzinnych tradycji i nie integrują się z wietnamską większością. Dziś większość Hmongów, porzuciła wędrowny sposób życia i prowadzi osiadłe życie rolników i hodowców. Co ciekawe, Hmongowie dzielą się jeszcze na pięć grup zależnie od kobiecych strojów. Są Hmongowie: Kwieściści, Czarni, Zieloni, Czerwoni i Biali.

Ścieżka do wioski prowadzi pomiędzy poletkami pól ryżowych. Trafiliśmy na okres pomiędzy zbiorami. Właśnie ruszyła orka i przygotowanie poletek na nowe nasadzenia. Wszędzie widać bawoły wodne odpoczywające w mulastej wodzie. Obok krzewy indygo, wykorzystywane przez miejscową społeczność do barwienia ubrań, stąd mocny, granatowy kolor. Kiedyś takim barwnikiem były farbowane oryginalne dzinsy. Dziś już tylko chemia. O dziwo, tylko my zwracamy uwagę na krzaki konopi indyjskich. Obok pole maku.

Mijając kolejne chlewiki, w których popiskują czarne niewielkie świnki, wyglądające jak maskotki, wchodzimy do wioski. Mieszkańcy powoli przyzwyczajają się do widoku cudzoziemców. Jeszcze nie tak dawno zrobienie zdjęcia było równoznaczne z zabraniem komuś duszy. Wsie Hmongów, zwane Giao, to małe grupy drewnianych chat krytych strzechą. W odróżnieniu od domostw innych społeczności nie są budowane na palach. Zgodnie ze starym zwyczajem dom musi stać na ziemi, pobłogosławionej przez przodków.

Za drobną opłatą wchodzimy do jednego z domostw. Świat się skomercjalizował. Mroczne pomieszczenie rozświetlają promienie przedzierające się przez szpary pomiędzy deskami ścian. Wewnątrz palenisko, kilka garnków, porozwieszane ubrania. W drugim pomieszczeniu odpoczywa gospodarz pałac bambusową fajkę wodną - prawdopodobnie opium. Słodkawy, drażniący dym snuje się

po całym domu, tworząc nierealną scenografię. Panowie - to jest podział obowiązków. Facet odpoczywa, dzieci w polu, kobiety handlują. Niestety - takie są realia Wietnamu. Po wojnie wietnamskiej, mężczyźni stali się „towarem” deficytowym.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się w wiosce plemienia Czerwonych Dao. Murowane domy. Sklep. Zupełnie inny poziom życia. Kobiety nerwowo reagują na aparat i natarczywie próbują nam coś sprzedać, szarpiąc za ubrania. Pryska atmosfera sympatii. Jest jednak coś, co nas zaintrygowało. Nie czerwone turbany sprytnie zakładane na głowę, nie biżuteria, a twarze kobiet z wygolonymi do połowy głowami, brwiami i wyrwanymi rzęsami. Jak wiadać, piękno w wielu miejscach świata, znaczy zupełnie co innego.

Ruszamy w drogę powrotną, wylapując wzrokiem kolorowe postaci pochylone na górskich poletkach.

Chyba mało było nam wrażeń dnia dzisiejszego. Ponownie idziemy na miejscowy bazar i naszej knajpki. Bierzymy wszystko, co można spróbować z dodatkiem chłodnego piwa.

Późno w nocy wracamy do hotelu, a miasto nadal tętni życiem.

Tekst, zdjęcia
Ireneusz Wołek

YouTube **niezwykły świat wietnam**
www.niezwyklyswiat.com